



Rozmowa z Hanną Foltyn–Kubicką, politykiem, germanistką, posłem na Sejm RP V kadencji, deputowaną do Parlamentu Europejskiego od 2005 do 2009 r., przyjaciółką Marii i Lecha Kaczyńskich

- Od katastrofy samolotu rządowego pod Smoleńskiem minęło już prawie dwa miesiące.
Hanna Foltyn–Kubicka: A ja jestem na takim etapie, że ciągle myślę: niech się otworzą te drzwi, niech oni tu wejdą.

- Jak długo znali państwo Marię i Lecha Kaczyńskich?

Hanna Foltyn–Kubicka: Poznaliśmy się w 1981 roku. Pokochaliśmy się, jak to się mówi, od pierwszego wejrzenia, tak bywa, że ludzie się potrafią zbliżyć do siebie bardzo szybko. Wtedy intensywnie szukałam kontaktów z decydentami bo miałam incydent z bezpieką, która mnie próbowała zwerbować do współpracy. Wcześniej polityką się w ogóle nie zajmowałam, bo stwierdziłam, że żyjemy w takim kraju, w jakim żyjemy i inaczej nie będzie. Ale jak mnie próbowali zwerbować do współpracy tak się wściekłam, że powiedziałam sobie, dosyć zabawy. Przez wspólnych znajomych architektów – państwa Padlewskich z Sopotu, poznałam najpierw Marylkę, potem, tego samego dnia - Lecha Kaczyńskiego. Wkrótce wprowadzono stan wojenny, Leszek został internowany, wielu naszych wspólnych przyjaciół także. Mnie - podejrzewam - tylko dlatego nie, że wzięłam roczny urlop na uczelni, na której pracowałam, mąż dostał stypendium do Bremy i mieliśmy razem wyjechać, oczywiście nic z tego nie wyszło.

- Jak wyglądało wtedy wasze życie, działalność?

Hanna Foltyn–Kubicka: Kobiety zajęły się podziemiem. Marysia Maruszczyk z domu Siła Nowicka, Marylka, ja. Organizowałyśmy pomoc dla internowanych. Leszek wyszedł po dziesięciu, czy jedenastu miesiącach. I potem było już podziemie, załatwiał się tak zwane śluzy, czyli mieszkania, w których się odbywały spotkania TKK, czyli Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. Do dyspozycji mieliśmy wtedy dwa mieszkania. Jedno - na Zaspie - mojej siostry bliźniaczki, która pół roku przed stanem wojennym wyjechała z mężem, lekarzem na stypendium i tak ich życie zagoniło, że wrócili do Polski dopiero dwa lata temu. I razem żyliśmy, czasy były ciężkie, wtedy solidarność się przekładała na to, że byliśmy wszędzie razem.



Inka, Jarek, Marylka, Leszek i Jeremi K.

- Jak to wyglądało?

Hanna Foltyn–Kubicka: Wspólnie robiliśmy zakupy, ja się często zajmowałam Martą, bo

Marylka wiecznie gdzieś jeździła, coś załatwiała. Jak Leszek wyszedł, często było tak, że oni – jak to Marylka mówiła – uchodzili – bo mieli sygnał, że będą następne aresztowania. Przychodzili nagle w nocy, stawali na wycieraczce z dzieckiem. Po stanie wojennym wspólnie spędzaliśmy wolny czas - imieniny, wakacje, sylwestry w Juracie w ośrodku prezydenckim.

- Zawsze siedzieliście w państwa domu przy stole w kuchni?

Hanna Foltyn–Kubicka: Tak. W tym domu w Sopocie mieszkamy szesnaście lat, przedtem mieszkaliśmy w innym miejscu i zawsze się siedziało w kuchni. Nawet ostatnimi laty, kiedy oni tu jako para prezydencka przyjeżdżali i chciałam, żeby było elegancko, uroczyście, robiłam porządek, nakrywałam stół białym obrusem, stawiałam świece w kieliszkach od szampana. Leszek tu częściej przyjeżdżał, niż Marylka. To był tak cudowny człowiek, gdyby on tu siedział, to by się pani z nim zaprzyjaźniła, on by panią za guzik złapał i nadawał. I taki sam jest Jarek. Obaj dowcipni, uwielbiałam z nimi przebywać przez tę lekkość ich bytu. Ja się dałam namówić na uczestnictwo w partii. Z nim byłam na gorącej linii, był dla mnie najwyższym autorytetem, radziłam się go, konsultowałam. Odbierał moje telefony zawsze, jak nie mógł, za chwilę oddzwaniał. To mi dodawało sił. Mogłam na niego liczyć.



Obiad wakacyjny w Borach Tucholskich

- Rozmawialiście państwo o przyszłości?

Hanna Foltyn–Kubicka: Mieliśmy taki projekt. Moja siostra kupiła budynek po dawnej pruskiej szkole w Borach Tucholskich, jest plastykiem z wykształcenia, zrobiła z tego polski dwór. Dom jest duży, ma 490 metrów kwadratowych powierzchni. Spędzaliśmy tam często razem wakacje – ja z mężem i oni we trójkę - Marylka z Leszkiem i Jarkiem. Leszek, jak mówił do nas, cały czas chodził, podchodził do framugi drzwi, opierał się, zjeżdżał i w kucki gadał, co nas do furii doprowadzało. Co chwilę robiła się zadyma, bo psy i koty zaczynały kotłować się pod stołem. Nawet swoje bociany tam mamy. W tym roku nie będzie małych, bo było za zimno, zwykle przylatywały 15 marca, a teraz zjawily się dopiero w połowie maja. Planowaliśmy – w żartach – że tam sobie zrobimy wesoły dom starszaka. Mój szwagier jest kardiologiem, więc byśmy mieli na miejscu lekarza. Wzięlibyśmy Jarka, który, jak wiadomo, jest samotny i oczywiście wszystkie nasze zwierzęta. Tak planowaliśmy, że będzie fajnie, ale już nie będzie fajnie.

- Łączyła was także miłość do zwierząt.

Hanna Foltyn–Kubicka: Psy, koty, zawsze były z nami. Oni mieli dwa psy i kota. Znalezione przez Leszka Suczkę, Lulę i wzięli takiego szkockiego teriera, jak nasz, to był diabeł wcielony, gryzł Leszka, gdy ten wchodził do własnego łóżka, był z nimi psiak dwanaście lat i odszedł 13 listopada 2009 roku na zawał serca. Marylka zaraz do mnie zadzwoniła, bo oni byli wtedy w Warszawie i przyjechali do Juraty żeby tego psa pogrzebać. Lula została, zaopiekowali się nią przyjaciele z Sopotu, którzy niedawno stracili swojego psa. Kot, Rudolf, trafił do pracownicy Kancelarii Prezydenta.

